

Henryk Pietras SJ

**ZAPISKI
O ODPOWIEDZIALNOŚCI**

**Wydawnictwo WAM • Księża Jezuici
Kraków 1994**

WPROWADZENIE

W tej książeczce chciałbym zastanowić się nad odpowiedzialnością. Temat ten nie jest być może zbyt atrakcyjny, przynajmniej na pierwszy rzut oka, gdyż odpowiedzialność w obiegowym pojęciu to najczęściej to, czego nieistnienie u kogoś się stwierdza, czego ludziom brakuje. Jeśli bowiem ktoś jest odpowiedzialny, wydaje się to tak naturalne, że nie ma o czym mówić. Czyżby więc chodziło o jakąś dziwną wartość, której nie sposób opisać inaczej, niż przez jej brak? Gdyby zaś tak być miało, to kto lubi czytać cudze wywnioszenia o własnych brakach?

Na pociechę można powiedzieć, że choć zwykle łatwo szermuje się sądami na temat braku odpowiedzialności u innych, postawa wielu ludzi uważających się za poważnych, czy to będą politycy, wychowawcy, czy nawet księża, wcale znowu tak świetlanym przykładem odpowiedzialności nie jest; a w każdym razie nie zawsze. I od kogo tej odpowiedzialności można się uczyć?

Z braku pewnych i powszechnie uznanych wzorców trzeba o tym zatem pomyśleć samemu. Bo choć odpowiedzialność jawi się chmurnie i śmiertelnie poważnie, jakoś trudno bez niej się obyć. Każdego denerwuje niepunktualność, nieobowiązkowość, lenistwo i mnóstwo jeszcze innych tego typu przywar. Najczęściej widać je u innych, gdyż sam sobie człowiek wiele postaw potrafi wybaczyć, czy

jednak naprawdę zależy nam tak bardzo, by
swoimi przywarami denerwować innych?

Ale, by zacząć od początku, po co
w ogóle trzeba być odpowiedzialnym? Co
to właściwie znaczy?

Czym jest odpowiedzialność

Samo słowo wskazuje nam już na przynajmniej jeden aspekt zagadnienia: **odpowiedzialność** to zdolność odpowiadania; na tak zwane potrzeby chwili, na potrzeby drugiego człowieka, czy nawet ludzkości jako takiej.

Nie wyczerpuje to jednak tematu: każdy, kto choć przez trzy dni chodził do szkoły, wie, że odpowiadać można dobrze, ale do tego trzeba się przygotować, odpowiadać można też źle, i znacznie to łatwiej przychodzi. A zła odpowiedź to wcale nie lepiej niż żadna, jak mawiał jeden z moich byłych nauczycieli i pewnie miał rację. A w życiu – stety lub niestety – jak w szkole: bez przygotowania i chwili pomyślunku trudno odpowiadać dobrze.

Wracając więc do tematu: trudno być odpowiedzialnym.

A tyle rzeczy się wokół nas dzieje, tylu ludzi spotykamy, tyle spraw obija nam się o uszy. Rezygnując z zajęcia jakiegoś stanowiska wobec tego wszystkiego ryzykujemy, że najlepsze okazje przejdą nam koło nosa, że nie spotkamy być może najciekawszego człowieka na świecie, że zasłyszane mądrości wylecą nam drugim uchem. I będzie się toczyć nasze życie od przypadku do przypadku, popychane prądem i poszturchiwane, przy stanie świadomości zbliżonym do letargu półprzytomnej ryby w zatrutych wodach

królowej polskich rzek. Biedaczka nie potrafi być odpowiedzialna, człowiek, gdy chce, to potrafi.

Kto chodził do szkoły trochę dłużej niż trzy dni, wie, że uczenie się i odpowiadanie metodą „paznokciową”, to jest od wiersza do wiersza bez najmniejszego połączenia z tym co wcześniej i co potem, nie przynosi dobrych rezultatów.

Znowu jak w życiu: odpowiedzialność selektywna, ograniczona tylko do tego, co aktualnie wabi i nęci, bez brania pod uwagę reszty świata, prowadzi donikąd. Albo raczej prowadzi dokądś: do bałaganu wokół nas i do rozstroju nerwowego w środku. Na dłuższą metę bowiem męczy ciągle przeskakowanie z kwiatka na kwiatek, i to w każdej dziedzinie.

A odpowiadać dobrze, to starać się, by ta odpowiedź była ważna jeszcze na jutro i na pojutrze, by na niej można było budować następne odpowiedzi i by wszystkie one mogły się złożyć na dzieło sztuki. Życiowych kiców jest już bowiem naprawdę dość.

Odpowiedzialność za siebie

Wygląda więc na to, przynajmniej wstępnie, że odpowiedzialność to zdolność właściwego odpowiadania na potrzeby i wezwania jakie niesie z sobą życie, to znaczy ludzie i sprawy na jakie napotykamy. Wydaje się, że pierwszym obiektem, w kierunku którego wypadaloby się zwrócić w sposób odpowiedzialny – choć powiedzmy sobie z góry, że jest to bardzo niesforny obiekt – jestem ja sam dla samego siebie. Bo przecież sam siebie będę niósł gdziekolwiekbym nie chciał się schować, w swoim towarzystwie będę przebywał zawsze, gdyż każde inne da się ewentualnie zmienić, to jednak nie.

Kto wie, czy przypadkiem jedną z najważniejszych przyczyn popadania w narkomanie czy alkoholizm nie jest właśnie nieznośnienie własnego towarzystwa. A samemu być dla siebie nieznośnym, samemu sobie sprawiać zawody i nie móc liczyć nawet na siebie samego, to naprawdę ponad siły.

Warto więc na siebie samego i na swoje życie spojrzeć odpowiedzialnie, to znaczy tak, by zwracać uwagę na to, co temu życiu służy; nie tylko na pół godziny, ale na dłużej, a może i na zawsze.

Oczywiście nie chodzi o to, by lekceważąc teraźniejszość błędzić myślami po zagadkach nieprzeniknionej przyszłości. Ale przecież nasz dzisiejszy dzień jest przygo-

towaniem jutrzejszego, dzisiejszy uśmiech może być zaczątkiem jutrzejszej przyjaźni czy miłości, a dzisiejszy gniew czy upór może mieć nieobliczalnie złe konsekwencje. Jeśli bowiem idzie o własne błędy lub własną głupotę, nie jest prawdą, że „nie ma takiego złego, co by na dobre nie wyszło”: to diabelska pociecha, która ma służyć jako znieczulenie i usprawiedliwienie.

Strasznie nudnie brzmią czasem zachęty do odpowiedzialności za siebie:

*Nie wychodź wieczorem,
bo cię ktoś napadnie;
nie jedz tego, bo ci zaszkodzi;
nie rób tak, bo skręcisz kark;
i tak dalej.*

Niby to wszystko prawda, ale powstaje wrażenie, jakby odpowiedzialność za siebie polegała na zakazach utrudniających życie i ograniczających wolność. A przecież nie o to chodzi.

Odpowiedzialność jest potrzebna, by jak najlepiej wykorzystać wolność, by całe życie uczynić jak najpiękniejszym. Każdy mój dzień i wszystko co w nim robię może temu służyć, lub temu przeszkadzać.

Jeśli chcę być jutro trzeźwy, dzisiaj nie mogę pić.

Jeśli chcę, by jutro moja wyobraźnia służyła mi w twórczy sposób, dziś nie mogę jej faszzerować pornografią.

Jeśli chcę mieć jutro ciekawszą pracę, dzisiaj muszę się uczyć.

Jest bowiem dostatecznie dużo nie-
szczęść, które mogą na człowieka spaść
niespodziewanie, by jeszcze dobrowolnie
lub bezmyślnie dokładać do nich te, które
są nieodłącznym skutkiem nieodpowiedzial-
nego przeżywania własnej teraźniejszości.

My, rzecz jasna, nie mamy absolutnie nic przeciw nikomu i przeciw niczemu.

Nie mamy na przykład nic przeciwko Waszym mniej lub bardziej luksusowym willom; mieszkajcie sobie w nich i niech Wam tam będzie możliwie najlepiej; dobrze też będzie, jeśli od czasu do czasu odśłonicie firanki i popatrzycie za okno, na świat; może coś tam zobaczycie. Nie mamy nic przeciwko Waszym ogrodzeniom; mieszkajcie sobie za nimi i niech Wam tam będzie możliwie jak najlepiej; dobrze też będzie, jeśli od czasu do czasu wyjdziecie poza nie, w świat; może coś tam usłyszycie. Nie mamy nic przeciwko Waszym „złym” psom; niech sobie szczekają i biegają. Ale za ogrodzeniem. Jeżeli w nieuwadze swojej puszczacie Wasze „złe” psy poza Wasze ogrodzenia, na te rzadkie miejsca przez Was nie zakupione i nie ogrodzone, a więc na ścieżkę, na drogę, która jest dla wszystkich ludzi – to zaprawdę słono za to zapłacicie. Nie w postaci pieniężnego odszkodowania pogryzionemu przez Waszego „złego” psa, bo na to Was stać, na to macie pieniądze. Za nieuwagę nie płaci się pieniędzmi. Za nieuwagę, czyli za wszystkie nieszczęścia zapłacicie swoimi wszystkimi nieszczęściami. To co się mówi, oczywiście nie jest złorzeczeniem Wam, lecz tylko informacją, która wszak może być absolutnie zbawienna, jeżeli uważnie i poważnie nad nią się pochylicie.

Odpowiedzialność za miłość

Nie wymyślono jeszcze takiego samochodu, do którego wystarczy wlewać tylko benzynę i jeździć spokojnie przez – na przykład – dziesięć lat. Nawet jeśli byłby najlepszy na świecie, trzeba od czasu do czasu sprawdzić poziom oleju, wymienić opony, nie mówiąc już o tym, że czasem trzeba go też umyć. Tak jest z wszystkimi użytecznymi rzeczami na tym świecie i każdy odpowiedzialny człowiek stara się dbać o te rzeczy, zwłaszcza jeśli są drogie, wybiera też godnych zaufania fachowców i doradców. Gdyż odpowiedzialne posługiwanie się jakimś skomplikowanym urządzeniem polega między innymi na tym, że jeśli się czegoś nie wie, szuka się pomocy tego, kto pomóc potrafi.

Gorzej jest jednak z takimi sprawami, co do których każdy sam uważa się za najmądrzejszego znawcę na świecie. Postępuje wtedy jedynie według własnego pomysłu na życie, a czasem nawet bez większego zastanowienia, gdyż tak jest pewny siebie.

Do takich spraw należy miłość. Każdy kto jest zakochany, uważa się za eksperta w specjalności. Wydaje mu się, że wie czego tej miłości potrzeba, jak powinien się zachowywać wobec kochanej osoby, co musi, co może, a czego temu drugiemu nie wolno. I zdarza się, że miłość się załamuje i wtedy każdy z bohaterów dramatu wmawia sobie: *Ja chciałem dobrze, to nie moja wina.*

Czy myślicie, że ci wszyscy, którzy się rozwodzą, nigdy się nie kochali?

Kochali się, a jakże. Tyle, że im też się wydawało, że wiedzą jak się to robi i nie wpadli na to, by o radę poprosić kogoś, kto zna się na prawdę.

Nie obawiaj się, Czytelniku, nie mam najmniejszego zamiaru dawać w tej chwili dobrych rad zakochanym, gdyż i ja na miłości nie znam się wcale lepiej. Wiem jednak, kto się zna i od kogo można spodziewać się pomocy chcąc do własnej miłości podejść odpowiedzialnie, to znaczy tak, by ciągle się rozwijała i by była silniejsza od wszelkich możliwych przeszkód. Miłość jest bowiem znacznie bardziej skomplikowana od samochodu i nie służy dobru wymądrzanie się na jej temat.

Ten, który miłość stworzył, albo – dokładnie mówiąc – który się z nami własną miłością i zdolnością kochania podzielił, dał nam także jej „instrukcję obsługi” w swoim Synu, Jezusie Chrystusie. Im bardziej ludzka miłość oddala się od tego wzoru, tym więcej ryzykuje, im bardziej zbliża się do Chrystusa, co właśnie jest znakiem odpowiedzialności, tym staje się wspanialsza. A On kochał tak, że uważając kochanych przez siebie ludzi za ważniejszych, umył im nogi. Nie mając nic więcej do ofiarowania, dał swoje życie.

Pewnie, można też inaczej: można domagać się umycia nóg jako próby miłości, moż-

na żądać poświęcenia życia, a przynajmniej czasu i pieniędzy.

Można.

Tyle, że prowadzi to donikąd i wcześniej czy później zniszczy miłość. Do kochania bowiem potrzeba przynajmniej dwóch osób, które zechcą w nią inwestować. Jedna miłości nie udźwignie. Bynajmniej nie chodzi tu o wiano, nawet najbogatsze, lecz o wniesienie w darze siebie samego – i całego.

Khalil Gibran, *Prorok* (fragment):

Wtedy odezwał się Almitra: „Powiedz nam o Miłości”. A on podniósł głowę i przebiegł badawczym spojrzeniem po swym ludzie, a wnet spłynął nań wielki spokój. I pewnym głosem powiedział:

Kiedy wezwie was miłość, idźcie za nią.
aczkolwiek jej drogi są twarde i nierówne.
I kiedy obejmą was jej skrzydła, ufajcie jej,
Aczkolwiek szpada ukryta w jej piórach może was zranić.

A kiedy do was mówi, pokładajcie w niej ufność,
choć jej głos może roztrzaskać wasze sny,
tak jak północny wiatr niszczy ogród.

Bowiem miłość może was zarówno ukoronować
jak i ukrzyżować.

I może być tak samo waszym wzrostem
jak i waszym obumieraniem.
I tak jak dociera aż do waszych szczytów,
jaśniejących w słońcu,
i pieści najdelikatniejsze pędy,
tak samo zstępuje do korzeni,
trzęsie by potrząsnąć nimi w miejscach
ich połączenia z ziemią.

Jak snopy siana przygarnia was do siebie.
Wstrząsa wami tak długo, aż wszystko opadnie.
Mle was, by uwolnić od łusek.
Rozciera aż do białości.
Ugniata aż staniecie się ulegli.

*I wtedy podaruje wam swój święty ogień,
byście stali się
poświęconym chlebem Bożej wieczerzy.*

*Miłość czyni z wami to wszystko,
byście mogli pojąć sekrety waszego serca.*

*Gdybyście jednak poszukiwali
jedynie miłosnego spokoju i miłosnej przyjem-
ności,
lepiej jest dla was byście okryli swoją nagość
i oddalili się z pola miłości.*

*Wybierzcie raczej świat, który nie rozróżnia pór
roku,
w którym możecie się śmiać,
aczkolwiek nie pełnią śmiechu
i płakać, aczkolwiek nie pełnią waszych łez.
Miłość nie ofiaruje nic poza samą sobą.
Miłość niczego nie posiada i nie może być posia-
daną.
Miłości wystarcza sama miłość.*

*Kiedy kochasz, nie mów: „Mam w sercu Boga”,
ale raczej: „Jestem w sercu Boga”.
I nie myśl, że możesz kierować swą miłością,
bo jedynie miłość, jeśli uzna cię godnym,
może tobą pokierować.*

*Miłość nie pożąda niczego innego,
jak tylko wypełnienia siebie samej.
Ale jeśli kochacie i nie jesteście w stanie
uchronić się od waszych pragnień,
niech pozostaną one waszymi pragnieniami.*

Niech się rozptyna i stana jak płynący strumyk,
który śpiewa nocy swe melodie.
Niech poznają ból nadmiaru czułości.
Niech będą zranione
przez wasze własne pojęcie miłości.

Niech się budzą o brzasku, z uskrzydłonym
sercem,
i wyśpiewują dzięki za jeszcze jeden dzień miłości;
Niech odpoczywają w południe,
rozmyślając w miłosnym zachwycie.

Niech wieczorem powracają do domu z uwiel-
bieniem;
A potem niech zasypiają z modlitwą w sercu
za swego kochanka i pieśnią uwielbienia dla Boga
na swoich ustach.

Odpowiedzialność za drugiego

Ojciec Tomasz Merton, trapista, napisał kiedyś książkę pod tytułem *Nikt nie jest samotną wyspą*. Tytuł ten stał się bardzo popularny i wręcz przemienił się w slogan. Nikt nie jest samotną wyspą i nie może liczyć na to, że inna wyspa podpłynie do niej w odpowiedzi. Żyjemy wśród innych, razem z innymi wychowujemy się, chodzimy do szkoły, pracujemy. Powinien z tego płynąć wniosek, logicznie rzecz biorąc, że w takim razie powinniśmy dbać nawzajem o siebie, gdyż trudno być zadowolonym i szczęśliwym w otoczeniu ludzi nieszczęśliwych. Ludzki egoizm wymyślił jednak przysłowie: „Każdy sobie rzepkę skrobie”. Że to niby każdy jest tylko i wyłącznie za siebie odpowiedzialny i że „jak sobie pościele, tak się wyśpi”. Coś w tym oczywiście jest, gdyż nic nie zastąpi odpowiedzialności za siebie samego, jak to już sobie mówiliśmy. Ale jednak ten drugi, człowiek, z którym dzielę dach nad głową, ten sam chleb, miejsce pracy czy wypoczynku, zależy w dużej mierze ode mnie. Mogę mu zatruć życie, a mogę też je upiększyć. Mogę pomóc mu w realizacji dobra, do którego jest powołany i które nadaje sens jego życiu, a mogę go też sprowadzić na drogę zła i nieszczęścia. Można wręcz powiedzieć, że samopoczucie, zdrowie, a nawet szczęście człowieka obok mnie leży także w moich rękach.

Dziecko można nauczyć modlitwy, ale także bluźnierstwa.

Młodego człowieka można nauczyć pracować i tańczyć, ale także pić na umór za wszystkie zarobione pieniądze.

Nie chodzi jednak tylko o uczenie czy wychowywanie. Każde bowiem moje słowo czy gest, oprócz znaczenia jakie ja im nadaję, ma jeszcze inne: to, jakie nadaje im ktoś, kto mnie słucha czy na mnie patrzy. Powszechnie wiadomo, że można kogoś zranić czy wręcz unieszczęśliwić nieopatrzonym słowem. Także systematyczne lekceważenie drugiego może go onieśmielić, spowodować zamknięcie się w sobie czy nawet depresję.

Nie jesteś samotną wyspą i od tego co mówisz, co robisz i jak to robisz zależy szczęście drugiego człowieka. Jeśli więc chcesz być szczęśliwym w szczęśliwym towarzystwie, rozejrzyj się dokoła i zobacz, co teraz akurat od ciebie zależy. Może twoja siostra jest smutna, gdyż myśli, że nikt jej nie kocha i ty się też do tego przyczyniasz? Może twój brat nie chce się uczyć, gdyż i tak go nikt nie pochwali, a już na pewno nie ty? Może twój kolega schodzi na manowce chcąc w ten sposób komuś niemądrze zaimponować, a nie ma mu kto powiedzieć, że się wygłupia niepotrzebnie?

Dopóki będzie żył na świecie obok ciebie choćby jeden jedyny człowiek, jego zdrowie, szczęście i samo życie będzie zależało także od ciebie.

Pochwalam ojca, który sobie przypisuje hańbę, jeśli syn zgrzeszył, przywdziewa żalobę i czyni pokutę. Gdyż syn jest jego częścią. Łączy go z synem mocna więź, a więc jest mu jakoś poddany. Każda droga prowadzi bowiem w obie strony. Jeżeli odmawiasz odpowiedzialności za klęskę, nie będziesz też odpowiedzialny za zwycięstwo.

Jeżeli kochasz kobietę twojego domu – żonę, a ona grzeszy, nie łącz się z tłumem, który ją osądza. Ona jest twoją częścią i siebie najpierw osądz, bo jesteś za nią odpowiedzialny. Może twój kraj poniósł klęskę? Musisz się najpierw sam osądzić: jesteś przecież jego częścią.

Z pewnością pojawią się cudzoziemcy, świadkowie klęski, i będziesz się musiał przed nimi rumienić ze wstydu. Żeby się ze wstydu oczyścić, odrzekniesz się win twego kraju. A przecież musisz być z kimś solidarny. Czy z tymi, którzy plują na twój dom? Oni mieli rację, powiesz. Być może. Ale ja chcę, żebyś był częścią własnego domu. Odstąp od tych, którzy plują. I nie pluj sam. Wróć do siebie i wołaj: „Dlaczego jestem tak szpetny w was wszystkich?” To oni wszyscy swoimi czynami okryli cię wstydem – ale jeśli przyjmiesz na siebie ten wstyd, twoje czyny mogą ich wszystkich uczynić piękniejszymi. A zarazem sam się staniesz piękniejszy.

Nie chcesz pluć – to nie znaczy, że chcesz ukryć winy; ale chcesz przyjąć swój udział w winach, aby się z nich oczyścić.

Ci, co zrywają solidarność i sami szczują obcych, wołają: „Patrzcie na to zepsucie, ale to nie ja...” Powiedzą potem, że są solidarni z ludzkością, z cnotą z Bogiem. Ale będą to puste słowa, jeżeli nie będą za nimi stały prawdziwe więzi. Bóg zniża się, zstępuje z wysokości aż w twój dom i staje się w nim. A dla prostaczka zapalającego świece Bóg staje się powinnością zapalania świec. A dla tego, kto czuje solidarność z ludźmi, „człowiek” nie jest słowem, jakich pełno w słowniku, „człowiek” to ci, za których jesteś odpowiedzialny. O ileż łatwiej odsunąć się na osobność, głosząc, że Bóg to więcej niż zapalanie świec. Ale ja nie wiem, co to „człowiek”, wiem tylko, co to „ludzie”. Nie wiem, co to „wolność”, a tylko, co „wolni ludzie”. I nie szczęście, ale „ludzie szczęśliwi”. Nie „piękno”, ale „piękno rzeczy”. Nie „Bóg”, ale żarliwość zapalanych świec. Ci zaś, którzy gonią za istotą rzeczy, nie rodząc się dla nich, okazują tylko własną próżność i pustkę swych serc. Ani żyć nie potrafią, ani umierać, gdyż nie żyje się i nie umiera w słowach.

Odpowiedzialność za dobro wspólne

Jednym z najsmutniejszych spadków po rządach totalitarnych, czy były one czerwone czy czarne, zawsze był i jest zanik odpowiedzialności za dobro wspólne. Każdy totalitaryzm ma bowiem to do siebie, że rząd bierze na siebie całość odpowiedzialności, ogłasza się jedynym kompetentnym w jakiegokolwiek sprawie, rządzi bez pytania innych o zdanie, a ludzie w państwie są mu potrzebni tylko do tego, by było kim rządzić i ewentualnie na wojnę posyłać. Zwykle też rządzący ludzi się, że zgarnie ogromne zyski płynące z tak totalnej władzy. Nazywam to złudzeniem, gdyż historia uczy, że totalitaryzm wcześniej czy później się wali, między innymi dlatego, że tych zysków jakoś nie chce być. Bo i być nie może: jeśli ludzie są pozbawieni możliwości odpowiadania za wspólny majątek i wspólny los, zamykają się w domach, w dosłownym i przenośnym słowa znaczeniu.

Totalitaryzm więc się wali, wydaje się wszystkim, że teraz już będzie dobrze, a tu nagle okazuje się, że wcale nie jest to takie proste, jak zresztą widzimy dookoła.

Jednym z tego powodów jest właśnie odziedziczony brak odpowiedzialności za dobro wspólne. Ludzie dalej z przyzwyczajenia dzielą świat na „my” i „oni”, pomstują na rząd, że na przykład obcina budżet szkolnictwa, a równocześnie robią wszystko,

by nie płacić podatków, na których ten budżet się opiera; narzekają, że sejm podzielony i że rządzący rządzą źle, ale równocześnie chętnie rezygnują z prawa wyboru członków tego parlamentu. Mówią, że to i tak niczego nie zmienia: oczywiście, niewybieranie i nie-działanie niczego zmienić nie może.

Fatalne przyzwyczajenie myślowe, że wspólne znaczy niczyje, pewnie długo jeszcze będzie nasz kraj paraliżowało. Zapewne też ludzi starszych, którzy za poprzednich rządów stracili zdrowie i nerwy, nic nie skłoni do nagłego poczucia odpowiedzialności za dobro wspólne. Ale przecież ludzie młodzi wcale nie muszą się temu poddawać. Młodzież nie ma takich przyzwyczajeń i właśnie jedyna nadzieja w nich. Że rozumieją, iż Pan Bóg dał ludziom świat do wspólnego użytku i że świat ten jest jak zespół naczyń połączonych: wiadomo, że dziura w jakimkolwiek z nich doprowadzi do straty wody we wszystkich. Nie można spuszczać wody z jednego naczynia i łudzić się, że poziom wody w innych przez to się nie obniży. Nie ma też najmniejszego sensu przelewanie z jednego naczynia w drugie ciągle tej samej wody, gdyż i tak nic się nie zmieni. A już na pewno nie wolno żadnego z tych naczyń niszczyć, gdyż woda, która się przy tym wyleje, obniży poziom we wszystkich innych.

Gdy dziecko zwędzi z maminej portmonetki 100 tysięcy złotych, pewnie będzie miało na lody przez kilka dni, czyli zysk

niewątpliwy. Ale może się okazać, że w rodzinie braknie pieniędzy na jego nowe buty.

Odpowiedzialność za dobro wspólne, czyli za stan i funkcjonowanie wszystkich naczyń połączonych, jest absolutnie konieczne do tego, by i w moim naczynku poziom wody był zadowalający.

Antoine de Saint-Exupéry, *Twierdza*, XVI,
Warszawa 1985 IW PAX, s. 60:

– Bo cedr – mówił ojciec – żywi się ziemskim
pyłem, ale przemienia go w gęste listowie, a ono,
z kolei, żywi się słońcem.

– Cedr – powtarzał mi nieraz – jest doskona-
łością prochu. Proch, który stał się cnotą. Jeżeli
chcesz ocalić królestwo, daj wewnętrzny ogień. On
pociągnie ku sobie ludzkie dążenia. I te same
czyny, te same dążenia, pragnienia, pragnienia
i wysiłki będą umacniać miasto, zamiast je ni-
szczyć.

A powiadam ci jeszcze i to:

– Umrze miasto, jeżeli budowa jego będzie
zakończona. Gdyż jego mieszkańcy żyli nie tym,
co otrzymywali, ale tym, co dawali. Gdy zaczną
wydzierać sobie poczynione zapasy, staną się
z powrotem jak wilki w legowiskach. A jeśli po-
skromisz ich okrutnie, staną się z kolei jak bydło
w oborze. Budowy miasta nie można zakończyć.
Tylko wtedy mówię, że skończyłem dzieło, kiedy
zabraknie mi wewnętrznego ognia. Ludzie umrą
wtedy, albowiem już są umarli. A doskonałość
nie jest bynajmniej osiągnięciem celu. To prze-
miana, utożsamienie się z Bogiem. Nigdy nie
zakończyłem budowy mego miasta...

Odpowiedzialność za własną wiarę

Wielu ludzi usprawiedliwia się z własnej niewiary, lub z jej słabości, mówiąc że w dzisiejszych czasach rozwiniętych nauk na wiarę zostaje mało miejsca, że nie jest potrzebna do wyjaśnienia wielu zjawisk, gdyż nauka zrobiła to za nią. Tak jakby wiara miała uzupełniać ludzkie błędy poznania czy inną ignorancję. Co prawda, wszyscy mniej więcej zdają sobie teoretycznie sprawę, że wiara w Boga ma za przedmiot coś więcej niż niewyjaśnione zjawiska, ale praktycznie i tak jednym tchem się wypowiada zdania o wierze w Boga i o wierze w duchy.

Tak pojęta wiara zdaje się niczego nie dodawać do naszego życia, niczym go nie ubogacać i zaliczyć ją można do odziedziczonego po przodkach folkloru, przydatnego w najlepszym razie do utrzymania tożsamości kulturowej danej grupy etnicznej. Nie ma też sensu bardziej o nią dbać niż na przykład o ochronę zabytków.

A przecież chodzi całkiem o coś innego. Wiara nie służy do pokrycia ignorancji czy do wywyższania się nad inne narody, ale daje dostęp do sensu rzeczywistości. Nie jest wiedzą empiryczną i człowiek wierzący wcale nie musi wiedzieć na podstawie wiary jakie znaczenie mają wszelkie dotyczące go kłopoty, chwile szczęścia czy nieszczęścia. W odróżnieniu od niewierzącego potrafi jednak patrzeć na świat i swoje własne życie

z punktu widzenia zmartwychwstania. I tak jak życie i śmierć Chrystusa okazało się być sensowne dopiero gdy On zmartwychwstał, tak i człowiek wierzący może z ufnością żyć i patrzeć na życie, gdyż wie, że z punktu widzenia zmartwychwstania ma ono sens i znaczenie. To nic, że zwykle trudno zgadnąć jaki. Ale jest.

O taką wiarę warto zaś dbać, warto troszczyć się, by nic jej nie zagłuszyło, by błędne pojęcia na jej temat nie zajęły miejsca prawdy.

Powie ktoś może, że takie doszukiwanie się sensu tam, gdzie wyraźnie widać tylko głupotę i zło, jest oszukiwaniem siebie i innych, typowym przykładem *opium dla ludu*. Byłoby tak, gdyby Chrystus nie zmartwychwstał, a wiara była ideologią opartą na dowodnie przez kogoś przyjętych przesłankach. U podstaw chrześcijaństwa nie leży jednak żadna teoria, tylko **wydarzenie zmartwychwstania**, żadne założenie, ale **doświadczenie** tego, że Chrystus żyje. A On naprawdę zmartwychwstał, i jeśli nie pozwolimy sobie wybić tego z głowy i serca, będziemy żyć szczęśliwie w sensownym świecie.

Dbać o tę wiarę trzeba tym bardziej, że aż roi się na świecie od uzurpatorów, którzy chcieliby narzucać wydarzeniom, a i życiu poszczególnych ludzi, swoje znaczenia, nie takie, jakie nadaje im Bóg. Zależy im na tym, by skłonić innych do patrzenia na świat przez pryzmat konieczności posiadania, gdyż chcą

zarobić sprzedając nam swoje produkty, z perspektywy potęgi własnego narodu, gdyż zmierzają do zagarnięcia cudzych terenów, z perspektywy wolnego seksu, gdyż zarabiają na prezerwatywach, lub z jakiegokolwiek innego punktu widzenia, innego niż zmartwychwstanie. Chodzi o to, byśmy w nich i w ich pomysłach szukali sensu życia ... co kończy się kręceniem się w kółko.

Wiara w Chrystusa jest wiarą w to, że nasze życie ma sens, nawet jeśli z powodu własnych ograniczeń nie jesteśmy tego w stanie dostrzec. Tak jak życie Jezusa Chrystusa na ziemi, jego bieda, prześladowanie ze strony faryzeuszy i kapłanów i jego śmierć znalazły swoje wyjaśnienie w zmartwychwstaniu, tak i wszelkie kłopoty naszego codziennego życia, troski, choroby i cierpienia – niewyjaśnialne z punktu widzenia życia na ziemi – okażą się sensowne w naszym zmartwychwstaniu.

Kościół uczy od zawsze, że wiara jest darem Bożym. Można by więc powiedzieć, że w takim razie za naszą wiarę odpowiedzialny jest Pan Bóg, i jeśli ktoś jej nie ma, nie jego wina. Zbyt tajemnicza to kwestia, zostawmy więc na boku sprawę tych, którzy rzeczywiście żadnej wiary w Boga nie mają. Może to trochę egoistyczne, ale pomyślmy trochę o sobie, o naszej wierze, takiej jaka ona jest.

Prawdopodobnie wszyscy wierzący uświadamiają sobie, że nie wykrzesali wiary z siebie samych. Przyszła do nas – można by

powiedzieć. Otrzymaliśmy ją w darze od Boga za pośrednictwem naszych rodziców, wychowawców czy jeszcze innych ludzi, którzy znaleźli się na naszej drodze. Otrzymaliśmy ją jakby w prezencie i czasem wydawać się może, że wystarczy z tego być zadowolonym i że od nas nie zależy, czy ona będzie większa i silniejsza, czy też słaba i bez wpływu na rzeczywistość.

A przecież wiara to coś tak osobistego jak miłość. Miłość też przychodzi, spada czasem na człowieka niespodziewanie, ale jeśli nie będzie się o nią odpowiedzialnie dbało, rozwieje się przygłuszona innymi wrażeniami.

Podobnie jest i z wiarą. Jak więc o nią dbać? W jakiej mierze nasza odpowiedzialność za siebie samych powinna obejmować także wiarę?

Odpowiedzialność za wiarę na pewno nie będzie polegać na wmawianiu jej sobie, ani na udawaniu pobożności. Nie chodzi bowiem o utwierdzanie się w złudzeniach, ale o prawdę. I jak miłość karmi się nie złudzeniami, ale ciągłym doświadczaniem dobra i piękna osoby kochanej, tak i wiara karmi się doświadczaniem Bożej obecności i uświadamianiem sobie znaczenia, jakie Bóg nadaje sytuacjom naszego życia. Każdy nasz dzień pełny jest znaków tej obecności Boga, i można powiedzieć, że nie zależą one od nas. Od nas jednak zależy, czy zechcemy je dostrzec, czy nie.

Do tego właśnie – między innymi, a może przede wszystkim – służy modlitwa. W tym wycinku naszego czasu możemy pomyśleć o tym wszystkim, co Bóg dla nas w ciągu dnia zrobił, co nam proponował, by życie nasze miało sens nie tylko z punktu widzenia sławy czy pieniędzy, ale z punktu widzenia zmartwychwstania, co było dziś jego szczególnym darem, który warto by było podjąć i wykorzystać. Odpowiedzialności za wiarę nie możemy bowiem zrzucać tylko na Boga: On robi wszystko co możliwe, by dać się nam poznać. Do nas należy zaś podjęcie Jego darów i danie im „ciała”, to jest zrobienie im miejsca w naszym życiu, pozwolenie na to, by mogły okazać się rzeczywiście twórcze i zbawcze. To dlatego właśnie przez całe tysiąclecia wszyscy święci powtarzają, że bez modlitwy niemożliwy jest rozwój wiary, a nawet samo w niej wytrwanie. I w rezultacie, bez modlitwy – to znaczy bez uświadamiania sobie Bożych darów i bez odpowiadania na nie – wiara umiera z głodu: jak miłość, kiedy ktoś, kto myśli, że kocha, przestaje patrzeć na ukochanego.

Trzeba dbać o tę wiarę. Chyba, że ktoś za wszelką cenę chce żyć bez sensu.

Ks. Jan Twardowski, *Dzieciństwo wiary*, z tomu *Poezje wybrane*, LSW 1979:

*Moja święta wiaro z klasy 3b
a coraz dalej i bliżej
kiedy w kościele było tak cicho że ciemno
a w domu wciąż to samo więc inaczej
kiedy święty Antoni ostrzyżony i zawsze z grzywką
odnajdywał zagubione klucze
a Matka Boska była lepsza bo przedwojenna
kiedy nie miała pretensji do nikogo nawet zmokła kawka
a miłość była tak czysta że karmiła Boga
wielka i dlatego możliwa
kiedy martwiłem się żeby Pan Jezus nie zachorował
boby się komunია nie udała
kiedy rysowałem diabła bez rogów – bo samiczka
proszę ciebie moja wiaro malutka
powiedz swojej starszej siostrze – wierze dorosłej
żeby nie tłumaczyła
- dopiero wtedy można naprawdę uwierzyć
kiedy się to wszystko zawala*

Odpowiedzialność za cudzą wiarę lub niewiarę

Być może nie każdy z czytających tę książeczkę zna kogoś absolutnie niewierzącego. Każdy jednak spotkał pewnie kogoś, kto niby wierzy, ale niewiele to dla niego znaczy. Nie widzi powodu by chodzić do kościoła, gdyż uważa, że kościół to dla starych babek, małych dzieci i księży. Wśród tych ludzi wielu jest takich, którzy kiedyś do kościoła chodzili, ich wiara była żywa, ale przyprószyła się i straciła na znaczeniu z powodu złych doświadczeń z ludźmi, którzy oficjalnie podawali się za wierzących i praktykujących. Może spotkali jakiegoś księdza, który ich zawiódł, organizację religijną, gdzie nie znalazł Boga, a jedynie ludzkie wymądrzanie się, aktywistów partyjnych, którzy pod sztandarem chrześcijaństwa próbowali zrobić karierę, czy coś w tym rodzaju. Tak niestety bywa, gdyż zły przykład z zasady ma znacznie mocniejszy wpływ na ludzi niż dobre przykłady; zgorszenie w dosłownym słowa znaczeniu, czyli czynienie kogoś gorszym, jest niestety na porządku dziennym.

Ci ludzie spotkali się z anty-świadectwem chrześcijańskiego życia i nie mogąc znaleźć oparcia w nikim odeszli od wiary, by nie być takimi jak oni. Nie zajmujmy się w tej chwili tym, czy postąpili słusznie czy nie, nie chodzi bowiem o obmawianie innych. Popatrzmy raczej na siebie samych.

Wokół nas też żyją ludzie, którzy patrzą na nas i na podstawie naszego zachowania wyrabiają sobie opinię na temat hierarchii wartości jakimi żyjemy. Jeśli wiedzą, że jesteśmy chrześcijanami, spodziewają się od nas życia według chrześcijańskiej nadziei, spodziewają się, że nie tylko będziemy mówić *Panie, Panie*, ale że będziemy się starać spełniać Bożą wolę. I to nie dlatego, że mama kazała, ale że wierzymy, iż to, co Bóg dla nas przewidział, jest nieskończenie lepsze niż my byśmy potrafili wymyślić.

A więc patrzą na nas ludzie z takimi nadziejami. A co widzą? Różne rzeczy: że jesteśmy dobrzy i cnotliwi tylko wtedy, gdy nie ma okazji do grzechu, że mówimy co prawda, iż zależy nam na Chrystusie, ale nawet w naszych modlitwach znacznie więcej miejsca niż On zajmują przyziemne i materialne sprawy tego świata, że wprawdzie teoretycznie przyznajemy rację Panu Bogu i Jego przykazaniom, ale czasem wygląda na to, że w międzyludzkich kontaktach rozsądniej jest liczyć na odpowiedzialnego ateistę niż na nas.

I jeśli taki ktoś, ten, który na nas patrzy, nie ma zbyt silnej wiary, ma marne szanse na jej wzmocnienie pod wpływem kontaktów z nami. I może stracić wiarę do reszty, a my za to będziemy odpowiedzialni. I może gorszyć się będziemy, że ktoś tam schodzi na złe drogi nie przejmując się Bogiem ani ludźmi, ale nie przyjdzie nam do głowy, że

wina może być także nasza. Bo tak to już – zdaje się – jest na tym świecie, że brak dobrego przykładu wiary robi więcej zła niż dobry przykład przyczynia dobra.

Uważajmy zatem: i my możemy być propagatorami niewiary przy braku – przynajmniej obecnie – oficjalnej ateizacji.

To prawda, że nasza wiara jest przede wszystkim naszą wiarą i jesteśmy za nią odpowiedzialni na własny użytek. Wiara jednak – jeśli istnieje naprawdę – sama przez się prowadzi do dawania świadectwa o Bogu i Jego zbawieniu. Jeśli tego świadectwa nie ma, wiara wypala się nie tylko w nas, ale i gaśnie wokół nas i całe nasze środowisko oddala się od Boga i coraz trudniej w nim wierzyć także tylko na własny użytek.

Zabijaka i jego chrześniak (legenda francuska):

Żył sobie niegdyś szewczyzna biedak, który miał jedenaścioro dzieci i z trudem zarabiał na ich wyżywienie. Lecz kiedy urodziło się dwunaste, szewczyzna znalazł się w tarapatkach. Był tak biedny, że nikt w okolicy nie chciał być ojcem chrzestnym najmłodszego dziecka. Zasmucony i upokorzony, postanowił spróbować w sąsiedniej wsi. Założył niedzielne ubranie, wziął do ręki kij i, poleciwszy się Panu Bogu, ruszył w drogę. Na twarzy malowało mu się takie strapienie, że zatrzymał go po drodze wędrowny starzec i zapytał, co go tak trapi.

- Nikt nie chce być ojcem chrzestnym mojego najmłodszego – odpowiedział szewczyzna.

- Jeśli tylko o to chodzi, mogę być nim ja – wykrzyknął nieznajomy.

Wyobraźcie sobie, jak się uradował, biedaczysko! Bez namysłu zgodził się, umówił na następny ranek w kościele i wrócił, by opowiedzieć żonie, co się przydarzyło.

Lecz żona nie była wcale zachwycona.

- Kto wie, z kim będziemy mieli do czynienia? Może to zbójca!

- Co też powiadasz! – odparł szewczyzna, nie tracąc dobrego samopoczucia – czemuż to nie miałyby zesać go nam Opatrzność?

Jednak jego żona miała rację. Nieznajomy był wodzem bandy zbójców, którzy nękali całą okolicę. Ale następnego ranka, o umówionej godzinie, stawiał się w kościele, trzymał dziecko do chrztu,

podarował mu pewną sumkę złotych monet i zniknął.

Dziecko było słabego zdrowia i umarło osiem dni później, a kiedy przybyło do raju, powitał je święty Piotr, który zaraz otworzył wielką bramę i zaprosił je do środka.

Ale dziecko odmówiło wejścia.

- Wejdę tylko z moim chrzestnym.

- A kimże jest twój ojciec chrzestny? – pyta święty Piotr.

- Nazywa się Zabijaka i mieszka w moich stronach.

- Zabijaka? Ależ to straszliwy zbójca. Nigdy nie wpuszczę go do raju.

- No to trudno. Bez Zabijaki nie przekroczę tego progu – powtórzył mały uparciuch. I usiadł sobie na schodkach. Wtedy święty Piotr, nie wiedząc już, do jakiego świętego się zwrócić, prosi o pomoc dobrego Pana Boga.

- Wejdz, mały. Zobaczysz, jaki piękny jest mój dom – zaprasza go Pan swoim głosem brzmiącym pięknie jak kościelne organy.

- Wejdę tylko z moim chrzestnym.

- Przecież nie mogę przyjąć do raju takiego zbrojcy. Zbyt wieloma grzechami się splamił.

No i co? Dziecko ani myśli słuchać głosu rozumu.

- Wiem, że tylko on zgodził się trzymać mnie do chrztu, przez co zostałem chrześcijaninem, jest więc pocziwy i nie ma powodu, by nie wszedł do raju razem ze mną.

- Już dobrze – ustąpił w końcu dobry Bóg.
- Zanieś mu ten dzbanuszek i powiedz, że kiedy

napelni go swoimi łzami, będzie mógł wejść do raju. Zważ, że nigdy jeszcze nie uczyniłem nikomu tak wielkiego ustępstwa.

Dziecko wzięło dzbanuszek, zeszło na ziemię i zaczęło rozglądać się za starym zbójcą. Szukało długo, a wreszcie znalazło go w lesie, głęboko uśpionego. Obudziło go zaraz i opowiedziało, co się zdarzyło, jak to przybyło do raju i nie chciało wejść, jeśli nie będzie z nim chrzestnego, jak to święty Piotr i sam Pan nie chcieli się zgodzić, ale w końcu udało mu się przewyciężyć ich opór. Zabijaka był tak poruszony opowieścią, że wybuchnął płaczem. I przyciskając dziecko do serca tak płakał, że dzbanuszek napelnił się w jednej chwili. Płakał i śmiał się. Ale stare serce nie wytrzymało wzruszenia; bandyta skłonił głowę i umarł.

Zabijaka i dziecko ujeli się za ręce i razem wstąpili do raju, a Pan i święty Piotr otworzyli wielką złotą bramę, by wpuścić ich do środka.

Odpowiedzialność za obraz człowieka

Często wydaje się ludziom, że wiara odnosi się tylko do życia pośmiertnego, a tu rządzą inne prawidła i trzeba się jakoś urządzić. Jezus Chrystus jest ważny, bo prowadzi do życia wiecznego, nad ziemią jednak jakby nie miał żadnej władzy. W urządzaniu tej ziemi szukają więc własnych rozwiązań, a jako że jedno po drugim okazuje się niewystarczające, ciągle trzeba te koncepcje zmieniać. I tak raz wychowuje się ludzi w szacunku dla starszych, raz zaś w ich lekceważeniu. Jednym razem w poszanowaniu własności prywatnej, innym razem w jej wzgardzie. Raz najważniejsza jest ludzka jednostka, raz naród, raz zaś partia. Czy zaś świat może rozwijać się pomyślnie, jeśli człowiek co rusz to zmienia to, co to niby ma być najważniejsze? W ten sposób przecież nawet nie wiadomo, kim człowiek w gruncie rzeczy jest, a już całkiem nie widać, kim powinien starać się być.

A przecież Jezus Chrystus nie tylko objawia nam Ojca, ale objawia kim jest człowiek. Czy myślicie, że ci, którzy walczą z religią, walczą w imię „życia po życiu”? To ich nic nie obchodzi. Walka idzie o to, by narzucić innym swoją wizję człowieka.

Od tego, na jakich ludzi się wychowamy, zależy, jacy będziemy. I komuś w tym samowychowywaniu się trzeba zawierzyć, żeby się nie okazało, że nasz trud poszedł na marne,

gdyż nauczyliśmy się realizować wartości niewiele warte.

Kto wie, czy jednym z najważniejszych objawień nie jest to, że człowiek nie jest Bogiem. Brzmi to może banalnie: wszak wiemy, że nie jest. Idzie jednak o to, że bardzo chętnie udajemy, że jest. Zachowujemy się jakbyśmy byli najważniejsi na świecie, ulegamy ciągłom do domagania się od innych, by zachowywali się tak, jak chcemy, narzucamy innym własną wolę, jakbyśmy tylko my na tym świecie mieli rację i oceniamy wszystko w funkcji naszego pożytku. Na dodatek też ulegamy wielu naciskom w tym względzie. Mnóstwo filmów i książek pracuje na to, byśmy się utożamiali z najważniejszym bohaterem, z tym, który zdoła podporządkować sobie wolę innych. Jest bardzo znaczące, że we wszelkich totalitarnych przewrotach i rewolucjach w ludzkiej historii, ten, kto chce przejąć władzę, zaczyna zwykle od wmawiania w ludzi, że są absolutnie najważniejsi i wszystko im wolno. Zaraz potem podpowiada im, że w takim razie wolno im także obalić władzę, jakakolwiek by ona nie była, gdyż są ważniejsi. I tak się dzieje, gdyż człowiek łatwo upaja się uludą własnej wielkości, chętnie stawia się na najwyższym miejscu i ... robi wiele głupstw. Gdyż władzy następnej, ustanowionej po obaleniu poprzedniej, już się ludziom nie pozwoli obalić, o nie!

A człowiek nie jest Bogiem, tylko dzieckiem Bożym i jego stworzeniem. Tak jest z natury rzeczy, jeśli więc zacznie wywracać ten porządek lub zachowywać się tak, jakby było inaczej, niszczy porządek naturalny. Popatrzcie na zniszczoną przyrodę: zrobił to człowiek, któremu się wydawało, że sam jest Bogiem i tylko od niego zależy, jak jej będzie używał. Zobaczcie wszystkie wojny: wywołują je ludzie, którzy myślą że są bogami i stąd inni powinni się im podporządkowywać. Przypatrzcie się dobrze jakiegokolwiek kłótni... Zresztą, po tym właśnie można rozróżnić Boga prawdziwego od bogów fałszywych: ten prawdziwy nie domaga się podporządkowania, tylko kocha i proponuje swoją pomoc. Fałszywy – żąda i grozi.

Antony de Mello SJ, anegdoty o Diogenesie,
z tomów *Śpiew ptaka* i *Modlitwa żaby*:

Kiedy pojmano greckiego filozofa Diogenesa i zabrano, żeby sprzedać go na targu niewolników, podobno wspiał się on na podwyższenie licytatora i wykrzyknął: „Pan tu przyszedł, żeby go sprzedano. Czy jest wśród was jakiś niewolnik, który pragnie go kupić?”

Niemożliwym jest uczynić niewolników z oświeconych, gdyż są oni tak samo szczęśliwi w stanie niewoli, jak w stanie wolności.

* * *

Plutarch opowiada historię o Aleksandrze Wielkim, który napotkał Diogenesa, przyglądającego się uważnie stercie ludzkich kości.

- Czego szukasz? – zapytał Aleksander.
- Czegoś, czego nie mogę znaleźć – rzekł filozof.
- A cóż to takiego?
- Różnica między kośćmi twojego ojca, a kośćmi jego niewolników.

Tak samo nie do odróżnienia są: kości katolika od kości protestanta, kości hinduisty od muzułmanina, kości Araba od kości Izraelity, kości Rosjanina od kości Amerykanina.

*Oświeceni nie widzą różnicy nawet wtedy,
gdy kości te są obleczone w ciało.*

* * *

Filozof Diogenes jadł soczewicę na kolację. Zobaczył go filozof Arystyp, który żył wygodnie za cenę pochlebiania królowi.

Arystyp zwrócił się do niego:
- Gdybyś się nauczył być poddanym królowi,
nie musiałbyś jeść tej dziadowskiej soczewicy.

Na to odpowiedział Diogenes:
- Gdybyś ty się nauczył jeść soczewicę,
nie musiałbyś przypochlebiać się królowi.

* * *

Pewnego dnia Diogenes stał na rogu ulicy, śmiejąc się jak człowiek pozbawiony rozumu.

- Z czego się śmiesz? – spytał przechodzień.
- Czy widzisz ten kamień na środku drogi?
Od kiedy tu przyszedłem dziś rano, dziesięć osób potknęło się o niego przeklinając. Ale ani jedna nie zadała sobie trudu usunięcia go, by inni się nie potknęli.

Odpowiedzialność za Kościół lokalny

Powszechnie wiadomo, że ludzie mają skłonność do narzekania. Niestety jednak na narzekaniu często kończy się zaangażowanie w tworzenie jakiegoś dobra: bo – mówimy sobie i innym – czy to ode mnie zależy? Oczywiście, wiele instytucji funkcjonuje nie całkiem tak, jak powinny, wielu ludzi na odpowiedzialnych stanowiskach nie dorasta do wymaganego poziomu i tak dalej. Tak więc narzekamy na co się tylko da, aż z czasem staje się to naszą drugą naturą.

Jednym z ulubionych tematów do uskarżań się jest Kościół. Może nie Kościół w ogóle, ale ten miejscowy: biskup, który nie rządzi diecezją jakby ktoś chciał, proboszcz bez zrozumienia dla wymogów współczesności, nerwowy wikary, brak w parafii odpowiedniego podejścia do wszystkich, nudne kazania, itp. To narzekanie jednak ma zwykle dwojakie podłoże: jest w nim sporo rzeczywistej troski o lepszy stan Kościoła we własnej diecezji czy parafii, ale także jest ono sposobem usprawiedliwiania siebie samego z własnego niezaangażowania. To prawda, że w parafii bardzo dużo zależy od proboszcza. Może jednak zależy też coś od innych? Przecież do Kościoła należymy wszyscy i nie z powodu przyjaznych uczuć do księdza, na dodatek odwzajemnionych, ale z powodu przynależności do Chrystusa.

Może *Oaza* w twojej parafii jest nudna i stała się kręcącym się wokół siebie kółkiem, gdyż brakło w niej twojego zaangażowania?

Może twoja parafia nie potrafi objąć opieką ludzi chorych i biednych, gdyż ani tobie, ani innym ludziom z twojego kręgu, tak prawdę powiedziawszy, wcale nie zależy na udzielaniu im tej pomocy?

Może śpiew w waszym kościele kuleje, bo między innymi tobie nie chce się śpiewać, choć nie tylko sam potrafisz, ale mógłbyś i innych nauczyć?

Człowiek jest zdrowy nie tylko wtedy, gdy go głowa nie boli, ale gdy ręce, nogi, serce, nerki i inne jeszcze organy funkcjonują dobrze. A serce Kościoła nie istnieje bez ludzkich serc, Kościół może iść do kogoś tylko na ludzkich nogach, a robić coś dla innych może tylko ludzkimi rękami. Także twoimi.

Jest ogólnoludzką przywarą szukanie kozła ofiarnego, gdy coś nie idzie i mało jest ludzi, którzy przynajmniej od czasu do czasu nie lubią na innych zrzucać winy. Równocześnie zdajemy sobie jednak sprawę, że jest to procedura podejrzana i mało odpowiadająca prawdzie. Dlaczego więc za dobre lub złe funkcjonowanie twojej parafii miałby odpowiadać tylko ksiądz?

Oznaką miłości jest dzielenie się tym, co ktoś ma; nie tylko rzeczami materialnymi, ale również wiedzą, doświadczeniem, wiarą czy nadzieją. I po to właśnie istnieje wspólnota

Kościół, byśmy mieli przychylne sobie środowisko, w którym możemy żyć, rosnać i dochodzić do Boga pomagając sobie nawzajem. Czy wydaje ci się sprawiedliwe, byś ty właśnie miał być tylko tym, któremu pomagają, przekazują, prowadzą, ułatwiają i tak dalej, nie mogąc liczyć na to samo z twojej strony?

Pewnie znowu niedługo najdzie cię chęć, by na swój Kościół ponarzekać, bo zawsze przecież znajdzie się jakiś powód. Pomyśl jednak wtedy, czy przypadkiem nie narzekasz na samego siebie, na to, że i ty nic nie robisz, by był on coraz widzialniej Chrystusowy, by był oparciem nie tylko dla ciebie, ale i dla wszystkich innych. Choć głównym budowniczym Kościoła na ziemi jest Chrystus i czyni to przez swoją obecność i swoje Słowo, jeśli ty nie pożyczysz Mu swego serca do kochania i swoich rąk do tej budowy, pójdzie to opornie. I zawsze będzie na co narzekać.

Odpowiedzialność za to, co zasłyszane

Do znudzenia często powtarza się, że trzeba być odpowiedzialnym za to, co się mówi, pisze, robi i tak dalej. Wszystko to bowiem jest jakimś pozytywnym działaniem, które z oczywistych powodów może mieć dobre lub złe skutki. Czy słyszał jednak ktoś o potrzebie odpowiedzialności za to, co się słyszy? Przecież słyszy się różne rzeczy, często nawet niechcący, a oprócz tego słuchanie jest postawą bierną, a nie działaniem, z którego coś miałooby wynikać.

A jednak życie uczy, że brak odpowiedzialności za rzeczy zasłyszane kończy się bardzo często źle. Pomijam już fakt, że ktoś powtarza zasłyszane bez sprawdzenia i okazuje się czasem, że szerzy kłamstwa i kalmnie. Chodzi o coś innego: zło, jakie mam na myśli bije w samego słuchającego. Może bowiem powodować poplątanie jego pojęć, zachwianie jego zaufania do kogoś drugiego, może zaowocować bałaganem myślowym, brakiem równowagi wewnętrznej, nie zdecydowaniem i jak to jeszcze zechcecie sobie nazwać. Jednym słowem, nieodpowiedzialne słuchanie prowadzi do błędnych odpowiedzi jakie sami sobie udzielamy na własne pytania.

Oto kilka przykładów, z różnych dziedzin.

Oto słyszę, że rząd chce sprzedawać zachodnim przedsiębiorcom udziały w pol-

skich fabrykach i larum się podnosi, że jest to neokolonizacja, wyprzedaż kraju i tak dalej. Cóż, pewnie ktoś ma interes w takim ujmowaniu sprawy. Słuchając tych narzekań nieodpowiedzialnie nie pozostaje nic innego jak bezkrytycznie się przychylić i myśleć tak samo. A gdyby tak pomyśleć własną głową, można by na przykład zauważyć, że gdy Japończycy kupili holenderskiego *Panasonica* to ani fabryka nie zbankrutowała, ani Holandia nie zbiedniała; że amerykańskie firmy posiadają kilkanaście procent udziału we włoskim *Fiacie* i dalej dziwnym trafem jest on włoski; że zachodnie i japońskie fabryki komputerów znajdują się na Tajwanie czy w Hongkongu i między innymi dlatego kraje te ekonomicznie stoją lepiej niż nasz. Wnioski te nie rozwiązują jeszcze skomplikowanej kwestii prywatyzacji i nie o to mi chodzi. Chcę tylko zwrócić uwagę na to, by słuchając nie dać się zbalamucić i nie wierzyć zbyt łatwo fałszywym prorokom, to znaczy takim, którzy mają interes w jednostronnym przedstawianiu problemów.

Inny przykładem może być słynna *klerykalizacja życia publicznego w Polsce*. W różnych okresach, w zależności od mody czy też panujących układów politycznych, powtarzają to liczni dziennikarze radia, telewizji i prasy po kilka razy dziennie, do tego stopnia, że jak ktoś powie, że kraść nie wolno, bo takie jest Boże prawo, to też wygląda na klerykalizację. I słuchając tej zapiekłej propagandy dochodzi

się do osobliwego pomieszania pojęć: jeśli w Europie Zachodniej uczy się religii w szkołach, jest to postępowym znakiem uznania praw obywatelskich – w Polsce – *klerykalizacją oświaty*. Kapelani wojskowi we wszystkich niekomunistycznych państwach są znakiem duszpasterskiej troski Kościoła – w Polsce – *zatrważającej klerykalizacji sił zbrojnych*. Ponad dwieście diecezji we Włoszech jest wewnętrzną sprawą administracji Kościoła. W Polsce paredziesiąt – straszną wizją panoszenia się kleru; niewykluczone, że dojdzie kiedyś do tego, że ksiądz idący ulicą będzie oskarżany o klerykalizowanie chodnika.

Mój siostrzeniec, gdy miał pięć lat, a ktoś próbował go do czegoś przekonać, pytał: *Skąd to wiesz?*; tylko tatusiowi wierzył na słowo. Pozwalam sobie zauważyć, że słuchał odpowiedzialniej niż wielu dorosłych, skłonnych do uwierzenia czemukolwiek, bez zastanowienia i cienia wątpliwości – choćby tylko metodologicznej.

A przecież ilekroć ktoś do mnie mówi, robi to po coś. I ten cel – choć trudny czasem do uchwycenia – jest znacznie ważniejszy od samej treści jego mowy.

Odpowiedzialność za własne poglądy

Z tematem poprzedniego rozdziału, to znaczy z odpowiedzialnością za to, co się słyszy, wiąże się bardzo blisko odpowiedzialność za własne poglądy. Wiele jest bowiem czynników składających się na nasze uporządkowanie głowy. Od początku wychowują nas rodzice, dziadkowie, starsze rodzeństwo, wujkowie i ciecie. Dochodzi do tego później pani przedszkolanka, nauczyciele w szkołach, w tym także katecheci, księża, różni sekretarze i rzecznicy prasowi. Pod tymi różnorodnymi wpływami tworzą nam się w głowie pojęcia na wszelkie tematy, także te najistotniejsze, jak co to jest życie, wolność, szczęście i tak dalej. Jeśli pozwolimy tym różnym opiniom nakładać się na siebie dziko, bez ładu i składu, zrobi nam się w głowie śmietnik i nie będzie nas stać na nic innego jak tylko na powtarzanie frazesów i mówienie sloganami.

Zauważyliście, jak często słychać w radiu lub telewizji powtarzające się w kółko utarte sformułowania?

Już Adam w raju, według biblijnego mitu o stworzeniu i grzechu, starał się zrzucić odpowiedzialność za swój błąd na Ewę: *ona mnie zwiodła*. I tak to już zostało, że człowiek woli czasem odpowiedzialność za swoje poglądy składać na innych, by samemu wyjść na cało. Zauważcie jednak, że w ten sposób sam sobie wystawia dość brzydkie świadec-

two: znaczy, że sam nie myślał, że pozwolił sobie wmówić, że jest słabszy od tak zwanych czynników zewnętrznych.

Żeby twoje poglądy rzeczywiście były twoje, to znaczy takie, pod którymi mógłbyś się podpisać i później tego podpisu nie miał potrzeby się wstydzić, musisz sam o nie zadbać. Nie wystarcza bojkotowanie wszelkich zasłyszanych opinii, choć wielu młodych zbuntowanych tak właśnie reaguje. Prowadzi to bowiem do anarchii, a nie do mądrości; w końcu kultura to coś, co się przekazuje i co każde pokolenie musi po swojemu zasymilować. Nie chodzi więc o anarchię, lecz o porządek w głowie. To o tę właśnie głowę walczą ideolodzy występujący pod sztandarami o wszelkich możliwych kolorach, chcąc ją przerobić na swoją modłę nie pytając wcale o zgodę. O twoją głowę walczą specjaliści od reklamy, byś potrzebował tego akurat, co chcą ci sprzedać. No cóż, mają prawo, z tego żyją. Od ciebie jednak zależy, czy będziesz chorągiewką na wietrze, której własne zdanie nie jest potrzebne, gdyż i tak obraca się z wiatrem, czy też człowiekiem rzeczywiście wolnym, umiejącym wybierać to co lepsze, a nie tylko to, co aktualnie zachwalane.

A czy chrześcijaństwo ma tutaj jakieś znaczenie?

Ma. Dla tych, którzy chcą, Jezus Chrystus proponuje siebie samego jako punkt oparcia, by nie musieli tylko o własnych siłach sta-

wiać czoła różnym mistrzom uzurpującym sobie prawo do prawdy. Nie głosi On żadnej ideologii, prawdziwej tylko w jakiejś tam epoce i słusznej z punktu widzenia jakiejś tam klasy. I też nie tylko prowadzi do życia wiecznego. Już tu i teraz umacnia nas, byśmy nie ulegali błędom, ułudom i kłamstwom, lecz byśmy dążyli do prawdy i w prawdzie byli wolni.

Czasem, w skrajnych sytuacjach, okazuje się, że są ludzie gotowi zabić drugiego za jego poglądy, oraz tacy, którzy gotowi są za swoje poglądy umrzeć. Kto z nich jest bardziej wolny? Nikogo nie zachęcam do wystawiania się na śmierć i nikomu tego nie życzę. Chciałbym jedynie zauważyć, że jeśli ktoś zaczyna używać jakiejkolwiek siły dla poparcia swych poglądów i dla narzucenia ich innym, nie jest wolnym człowiekiem, ale niewolnikiem starającym się zniewolić innych. Jeśli nie będziesz za swoje poglądy odpowiedzialny, może mu się udać, czego ci naprawdę nie życzę.

ZAKOŃCZENIE

O odpowiedzialności można by oczywiście napisać znacznie więcej, a i pewnie ciekawiej. Sądzę jednak, że więcej na jeden raz byłoby już... nieodpowiedzialnie. Zdolność twórczego odbioru jakichkolwiek tekstów jest bowiem ograniczona, jak wszystko co ludzkie. Zdecydowałem się na publikację tych zapisków z nadzieją, że komuś się przydadzą; czy jest to działanie odpowiedzialne czy nie, zobaczymy. Jeśli jednak choćby jednemu z Czytelników książeczka ta pozwoli na chwilę refleksji nad własną odpowiedzialnością, mój zamiar okaże się uzasadniony.